

MIĘDZY CZERWCAMI

Z JERZYM EISLEREM, STANISŁAWEM JANKOWIAKIEM I PAWŁEM SANKĄ ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Pewnie nie uda nam się ujawnić jakichś nieznanych jeszcze faktów z przebiegu Powstania Poznańskiego czy Czerwca w Radomiu. Możemy natomiast zastanowić się nad przyczynami i konsekwencjami tych robotniczych protestów, nie tak bardzo różniących się w swej istocie od wszystkich innych „polskich miesięcy”. Wszystkie one były manifestacją niezgody czy przynajmniej najgłębszego niezadowolenia z panującej rzeczywistości.

S.J. – Nie wystarczy upatrywać przyczyn Poznańskiego Czerwca w tym, że Wielkopolska była krzywdzona w planie sześcioletnim, bo każdy region w Polsce dostawał z tego planu znacznie mniej, niż powinien. Wielkopolskę uważano za region w miarę bogaty, który na pewno jakoś sobie poradzi. Nowa rzeczywistość, która przyszła do Polski wraz z systemem komunistycznym, w Wielkopolsce zderzyła się z zupełnie inną niż w pozostałych regionach kraju mentalnością ludzi. To był główny problem. Bałagan był wszędzie, na inwestycje pieniędzy było mało wszędzie, zagęszczone mieszkania były wszędzie, rolnictwo niszczone wszędzie, choć może właśnie w Wielkopolsce szczególnie, ze względu na jego wysoki poziom przed wojną.

B.P. – W Cegielskim pracowali tylko Wielkopolanie? To był czas migracji nowych robotników do wielkich zakładów przemysłowych.

S.J. – Ponieważ w Wielkopolsce było mało inwestycji przemysłowych w tym okresie, w przeważającej większości zatrudnieni tam ludzie to była „stara klasa robotnicza”, jeszcze przedwojenna, wychowana na pewnych tradycjach – poczucia wagi swojej roli w społeczeństwie, fachowości, ale także dobrej zapłaty i organizacji pracy. Zakład Cegielskiego funkcjonował przed wojną i w czasie wojny. I nawet wtedy funkcjonował na zdrowych zasadach. Robotnicy „Ceglorza” w peerelu stracili przywileje nie tylko sprzed wojny, ale także z czasu wojny, np. wymiar urlopu dla najciężej pracujących przed wojną i w czasie okupacji był wyższy niż po wojnie. To było zderzenie bałaganu w gospodarce z tym przyzwyczajeniem, że praca ma być dobrze zorganizowana – jeśli robotnik przy maszynie sięga ręką do skrzynki z odlewami, które są potrzebne do obrabiarki, to ręka trafi na taki odlew.

B.P. – Podobnie było w Łodzi, w wielu zakładach, które podjęły po wojnie przedwojenną produkcję.

S.J. – Ale to były ośrodki, w których inwestycje przemysłowe zintensyfikowały się po II wojnie światowej i tam pojawiła się tzw. nowa klasa robotnicza, jak Ważyk o niej pisze – na wpół rozbudzona, na wpół obłąkana, wyrwana ze swojego środowiska, która nie przejęła tych zasad funkcjonowania robotników przedwojennych. Na tym polegała odmienność „Ceglorza”. Praca była źle zorganizowana, nie mogli więc wykonać planu. Za tym szło nieotrzymanie premii, czyli brak możliwości poprawy sytuacji bytowej. I do tego te wszystkie absurdy łączące się z systemem organizacji, w którym pracuje się dwadzieścia dni prawie „na

sucho" i potem dziesięć dni pracy – dzień i noc, sobota, niedziela – żeby wykonać plan. „Po prostu” w 1956 r. opisało wykonywanie „teoretycznych lokomotyw”. Wykonano dwie lokomotywy, a żeby zrobić trzecią, wyjmowano części z tej pierwszej. Takie oszustwa funkcjonowały na wszystkich etapach produkcji. I na to wszystko nakładały się fatalne warunki życia. Przedwojenne mieszkania zostały zagęszczone według normy 10 metrów na osobę, czyli do przedwojennych mieszkań wprowadzało się czasami 6–7 rodzin. I do tego brak inwestycji w komunikację, w wodociągi, kanalizację itd. Jednocześnie władza wypowiedziała wojnę większym gospodarstwom chłopskim i małym miasteczkom wielkopolskim, które świetnie funkcjonowały z rolniczym zapleczem. Znikaty więc zakłady rzemieślnicze czy drobnoprzemysłowe w małych miasteczkach, ludzie udają się w poszukiwaniu pracy do dużych miast. Dołożmy jeszcze do tego bardzo niskie płace, fatalne zaopatrzenie. W „zielonym zagłębiu” nie można dostać chleba! Jeśli zbierzemy te wszystkie ekonomiczne przyczyny, to już jest sytuacja strajkowa, wybuchowa. Na koniec wiadomość o tym, że zabierano niestłusznie przez wiele lat zawyżony podatek.

B.P. – To był punkt zwrotny, ale do wyjścia na ulicę jeszcze za wcześnie. Jakie próby załatwienia najważniejszych spraw podejmowano?

S.J. – Próba zmiany tej sytuacji na początku była dość nieśmiała – zamiast gorączkowo rozmawiać na przerwach śniadaniowych, robotnicy milczą. A potem powoli ludzie ośmielali się po śmierci Stalina, po likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, po XX Zjeździe KPZR. Na otwartych zebraniach partyjnych czytano tajny referat Chruszczowa. W Komitecie Wojewódzkim PZPR w Poznaniu przy takiej okazji I sekretarz komitetu Leon Stasiak mówił – a teraz towarzysze, proszę, każdy może śmiało się wypowiadać. Ktoś wstaje i pyta, ale czy to nie pociągnie za sobą przykrych konsekwencji. I Stasiak mówi – nie, nie, nikt nie zostanie aresztowany. Robotnicy poważnie potraktowali też pomysł na dyskusję wokół planu sześcioletniego. W Cegielskim zgłoszono do niego prawie pięć tysięcy korekt. Oni naprawdę poczuli się gospodarzami, czy chcieli poczuć się gospodarzami. I taka atmosfera zderzyła się z ponurą rzeczywistością, w której nic nie można załatwić. Efektem tego wszystkiego jest 28 czerwca 1956 r.

B.P. – Mimo pewnych zmian po śmierci Stalina Czerwiec był właściwie nie do uniknięcia?

S.J. – W tej krwawej formie był do uniknięcia, gdyby ktoś poważnie potraktował to, co się w Poznaniu dzieje. 27 czerwca nie ma już wątpliwości, że jutro wychodzimy na ulicę.

B.P. – Mnie jednak interesują władze. Przecież to już nie byli ci nieroztropni, kołkowaci urzędnicy z lat czterdziestych, to są już ludzie, którzy nabrali pewnych szlifów w administrowaniu, w urzędowaniu. W tej sytuacji można uważać, że był w ich zachowaniach jakiś element prowokacji. Jak interpretować zachowanie władzy w Poznaniu?

S.J. – Wcześniej nie zdarzyło się nic na taką skalę. Im nie starczyło wyobraźni.

B.P. – A władzom centralnym?

S.J. – Jest taka znamienna scena, na masówce w ZNTK w Poznaniu jest wiceminister Józef Popielas i rozpoczyna, jak to określono w sprawozdaniu, taką klasyczną agitkę. Stasiak

ciągnie go wtedy za rękaw i mówi: towarzyszu, samą agitką to my już tutaj niczego nie załatwimy, co możemy im obiecać? A Popielas na to: nic nie możemy im obiecać. Jeśli to nie była głupota, to prowokacja.

J.E. – Myślę, że może to być istota sprawy. W 1952 r. przywódca węgierskich komunistów Mátyás Rákosi powiedział publicznie, że imperialiści daliby dużo, żeby zobaczyć władzę robotniczą strzelającą z czołgów do demonstrantów. Minął rok i „wypaliło” Pilzno, Brno i inne miasta w Czechosłowacji, parę tygodni później wybuchło powstanie w Berlinie i wielu innych miejscowościach w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a po kolejnych trzech latach bunt, robotnicze powstanie w Poznaniu w czerwcu 1956 r. Brakiem wyobraźni byłbym może jeszcze skłonny tłumaczyć to, co stało się w 1953 r. w Czechosłowacji i w NRD, ale byłbym już w tym zakresie bardzo ostrożny przy Czerwcu 1956 r. A co powiedzieć o Grudniu 1970 czy Czerwcu 1976? Mechanizm był przecież stale ten sam.

B.P. – **Stąd moje pytanie, spróbujmy więc na nie odpowiedzieć.**

J.E. – Wydaje się, że złożyły się na to co najmniej dwa elementy. Po pierwsze, w Polsce w ogóle dość długo nie dopuszczano myśli, że może dojść do sytuacji kryzysowej, i nie przygotowano się na nią zawczasu. W okresie stalinowskim w naszym kraju nie było nawet milicyjnych formacji specjalnie przygotowywanych do rozpędzania demonstracji, bo skoro władza jest ludowa, państwo jest robotnicze, to nie widziano takiej potrzeby – po prostu wykluczano taką sytuację, by w „państwie robotniczym” robotnicy się buntowali. Warto tutaj przypomnieć, że Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej powstały w grudniu 1956 r., a więc już po powrocie do władzy Władysława Gomułki. Było to ewidentnie następstwem doświadczeń płynących z Poznania (gdzie pacyfikować protest musiały jednostki Wojska Polskiego) oraz październikowych wieców. W czasie następnych kryzysów ZOMO już istniało i wykorzystywano je do rozpędzania „nielegalnych zgromadzeń”, ale nadal u rządzących nie można było dostrzec umiejętności, a przede wszystkim woli, rozwiązywania zapalnych sytuacji środkami politycznymi. Nie było takiego myślenia, że można wyjść do protestujących ludzi i spróbować podjąć z nimi merytoryczną rozmowę. To był właśnie ten brak wyobraźni i pewnej umiejętności, a nawet swoistej techniki rozwiązywania konfliktów. Ale jest też druga sprawa, o której chyba zbyt rzadko mówimy: pycha i megalomania władzy lokalnej przekonanej o tym, że na „naszym terenie” do żadnych protestów społecznych na pewno nie dojdzie. W taki sposób pisali do Warszawy i zapewniali przełożonych – czasem zupełnie wbrew faktom – że trzymają rękę na pulsie i „u nas do ekscesów na pewno nie dojdzie”. A potem oczywiście dochodziło i lokalni działacze (nie tylko zresztą oni!) byli tym zaskoczeni. I tak było do końca peerelu.

P.S. – W poszukiwaniu analogii pomiędzy „polskimi miesiącami” chciałbym przypomnieć źródła robotniczego protestu w czerwcu 1976 r. Oczywiście, oprócz bezpośredniej przyczyny, jaką było ogłoszenie drastycznej podwyżki cen żywności, ważny był również sam sposób jej wprowadzenia, świadczący o pogardliwym stosunku władz wobec społeczeństwa. Premier Jaroszewicz ogłosił, że podwyżka zostanie zrekompensowana – to był jeden z wniosków wyciągniętych z doświadczenia Grudnia 1970 r. Ale chociaż aparat władzy całą operację przygotowywał długo i starannie, zasady, według których miały być wypłacane rekompensaty, powszechnie odebrano jako skrajnie niesprawiedliwe, krzywdzące osoby o najniższych zarobkach. Miały one otrzymać rekompensaty kilkakrotnie niższe niż osoby

o najwyższych zarobkach. Co więcej, decyzję władz przedstawiano jako projekt zgłoszony pod konsultację społeczną, ale ludzie wiedzieli, że konsultacje są farsą, i przekazywali z ust do ust plotkę o wydrukowanych cennikach. Arogancja władz i lekceważenie własnych zobowiązań ostatecznie popchnęły robotników do protestu. Nie ulega więc wątpliwości, że również źródła Czerwca 1976 r. nie należy ograniczać wyłącznie do kontekstu ekonomicznego. Oczywiście miał on swoje znaczenie: Radom był najbardziej zaniedbanym miastem spośród wszystkich 49 stolic województw utworzonych w wyniku reformy administracyjnej. O skali wieloletnich zaniedbań świadczy chociażby, że bieżąca woda była w zaledwie 51 proc. domów, a tylko 43 proc. było podłączonych do systemu kanalizacyjnego. W centrum miasta dominowały zdewastowane XIX-wieczne kamienice komunalne z przeciekającymi dachami, kuchniami węglowymi i wspólnymi toaletami. Szokującą nędzę, w jakiej żyło wielu radomskich robotników, doskonale pamiętają wszyscy ci ludzie demokratycznej opozycji, którzy spieszyli im z pomocą po Czerwcu 1976 r. Wszystko to niewątpliwie mogło wpłynąć na gwałtowność, z jaką zaprotestowano przeciw podwyżce cen w Radomiu, ale najpewniej nie da się już ocenić, w jak dużym stopniu. Do demonstracji ulicznych doszło przecież także w Ursusie i Płocku – tam już trudniej szukać źródeł niezadowolenia w uproszczeniu ekonomicznym – a przecież w Czerwcu 1976 r. strajki wybuchły w 24 województwach i uczestniczyło w nich co najmniej 70–80 tys. ludzi w całym kraju.

S.J. – Jeden z mówców powiedział na VII Plenum, że gdyby Stasiak miał przy sobie w Poznaniu prawdziwych działaczy robotniczych, a nie towarzyszy w mechatych kapeluszach, to ten dialog mógłby wyglądać inaczej i nie byłoby takich konsekwencji jak Poznański Czerwiec. Gdyby oni wyszli do robotników i umieli im powiedzieć coś innego oprócz agitki. Poznaniacy długo upominali się o swoje prawa i wykazali wiele cierpliwości. Już w 1954 r. były pierwsze sugestie, że coś jest nie tak. I przez cały rok 1955.

J.E. – Nie wolno przy tym zapominać, że przedstawiciele władzy mieli wówczas często inny niż my dzisiaj stosunek do kwestii ludzkiego życia. Obecnie nie wyobrażamy sobie żadnego rządu: ani prawicowego, ani lewicowego, który w przypadku strajku zacznie na poważnie zastanawiać się nad tym, czy do spacyfikowania protestu ma wystać sto czy pięćset czołgów. Robi się dziś wszystko, żeby nie zginął nawet jeden człowiek, a gdy już zdarzy się tragedia i ktoś zginie, jak to było np. kiedyś po meczu koszykarskim w Słupsku, gdy policjant zabił młodego chłopaka, to była to wielka tragedia, wszczęto śledztwo, policjant został usunięty ze służby, a następnie skazany prawomocnym wyrokiem. W peerelu wyglądało to zupełnie inaczej i nikt nigdy nie zająknął się, że przecież użycie wojska wyposażonego w ciężki sprzęt i broń palną w praktyce musi zaowocować tragedią! Niektórzy działacze partyjni, np. Zenon Kliszko, w grudniu 1970 r. zachowywali się jak dowódcy na froncie i zamiast zastanawiać się nad politycznym rozwiązaniem poważnego kryzysu, zajmowali się przegrupowywaniem sił i polecali przerzucić taką to a taką dywizję z miasta A do miasta B. Ten sam w praktyce mechanizm działał od roku 1956 aż do stanu wojennego włącznie. Politycy myśleli głównie jak sztabowcy, a nie w sposób, w jaki powinni to robić politycy!

B.P. – Przeglądałam przed rozmową wybór dokumentów *Opozycja demokratyczna w Polsce w świetle akt KC PZPR (1976–1980)*. Na tajnych, zamkniętych posiedzeniach oni opowiadali sobie takie bzdury, jakby nie mieli żadnych zmysłów do poznania czy postrzegania świata wokół siebie.

P.S. – Niewątpliwie można by podać ogromną liczbę przykładów ilustrujących to zjawisko, nieskuteczności kanałów informacyjnych, na których opierały się władze: partyjnych bądź Służby Bezpieczeństwa. Na górę docierały informacje wypaczone, dostosowane przez podwładnych do oczekiwań zwierzchników, na kolejnych etapach swojej drogi poddawane kolejnym obróbkom, coraz bardziej wypaczającym obraz rzeczywistości. Przecież jeszcze 24 czerwca wieczorem do Komitetu Wojewódzkiego PZPR czy Komendy Wojewódzkiej MO w Radomiu napływały informacje na temat nastrojów w zakładach pracy, które dziś zaskakują stopniem oderwania od rzeczywistości. 25 czerwca wieczorem, kiedy po całym dniu protestów zebrano się Biuro Polityczne, Edward Gierek przyznał: „Towarzysze, pomyliliśmy się w ocenie nastrojów. Wiedzieliśmy, że to będzie trudne, ale nie tak”. Po krótkiej dyskusji, nad którą zaciążyła obawa przed powtórzeniem scenariusza grudniowego, zdecydowano o zawieszeniu podwyżki cen – co świadczyłoby o tym, że zwyciężyło poczucie realizmu. Tymczasem już w nocy z 25 na 26 czerwca tzw. ścisłe kierownictwo postanowiło spróbować jednak przeforsować podwyżkę, i między innymi w tym celu, aby spacyfikować społeczne niezadowolenie, w następujących dniach rozpętano gigantyczną kampanię propagandową.

S.J. – A władza w takich przypadkach zaczyna myśleć „pragmatycznie”. W grudniu 1971 r. Gomułka pisał do Gierka o Grudniu '70: odrzuciłem sugestie towarzysza Cyrankiewicza, żeby do rozpędzenia tłumów na Wybrzeżu użyć samolotów ponaddźwiękowych, które by nad tłumem przebijały barierę dźwięku, bo pociągnęłyby to za sobą masowe wypadanie okien.

J.E. – Dodajmy, że pomysłodawcami tego byli wojskowi, gen. Wojciech Jaruzelski i szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Bolesław Chocha, i rzeczywiście Gomułka storpedował ten pomysł...

S.J. – Nie dlatego, że popękają ludziom bębniaki w uszach, ale dlatego, że wypadną okna.

B.P. – **Wróćmy jeszcze do 1956 r. Skończyła się walka, powstanie. Ludzie bezpośrednio w to zaangażowani, młodzi ludzie, dzieci, ich rodziny, środowiska pracy, wszyscy oni ponieśli ogromne straty, zostali poddani represjom. A co się stało z władzami, milicją, wojskiem, z uczestnikami po tej drugiej stronie, czy oni ponieśli jakieś konsekwencje?**

S.J. – Urząd Bezpieczeństwa był wychwalany we wszystkich możliwych przemówieniach jako ten, który oparł się imperialistycznej prowokacji. Nagrody, awanse. Milicja skrytykowana, no bo tak łatwo dała się rozbroić.

J.E. – Znamienne jest, że zarówno w aparacie partyjnym, jak i w „strukturach siłowych” niektóre nazwiska powtarzają się w kolejnych „polskich miesiącach”. Na przykład jeden z sekretarzy Komitetu Wojewódzkiego w Poznaniu Wincenty Kraśko, który w czerwcu 1956 r. wyszedł do demonstrantów zgromadzonych na placu Stalina, w latach sześćdziesiątych był długoletnim kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR, a jeszcze później sekretarzem Komitetu Centralnego. Tadeusz Pietrzak, który jako major w 1956 r. był komendantem wojewódzkim Milicji Obywatelskiej w Poznaniu, w Marcu 1968 r. i Grudniu 1970 r. był już komendantem głównym MO. Gen. Józef Kamiński w czerwcu 1956 r. dowodził użytym w Poznaniu 2. Korpusem Pancernym, a w Grudniu 1970 r. był dowódcą Pomorskiego Okręgu Wojskowego, jedną z osób odpowiedzialnych za pacyfikację właściwie całego Wybrzeża.

B.P. – Towarzysze tak pięknie sprawdzili się w Poznaniu.

J.E. – Oczywiście. A poza tym „talia politycznych kart” była niezbyt bogata. Jak się nad tym głębiej zastanowić, to okazuje się, że przez 45 lat – jak to obliczał kiedyś Antoni Dudek – przez Biuro Polityczne przewinęło się zaledwie około stu osób. Naturalnie na niższych stanowiskach było ich więcej, ale i tak nie były to w żadnym razie miliony. Może sto, może dwieście tysięcy ludzi w latach 1944–1989 przewinęło się przez kierownicze struktury władzy. Nieprzypadkowo przecież mówimy o nomenklaturze i o kręcącej się karuzeli stanowisk: z kierownika wydziału na wojewodę, z wojewody na ministra, z ministra na ambasadora, z ambasadora na sekretarza itd.

B.P. – Gdy dochodziło do protestów, a w efekcie do mniej lub bardziej dramatycznych starć z władzą i jej strukturami siłowymi, z aparatem represji w jakimś konkretnym mieście, to jeśli rozruchy nie ogarniały całego kraju, jak podczas największej konfrontacji, czyli w sierpniu 1980 r. i po wprowadzeniu stanu wojennego, to i tak odbijały się szerokim echem w Polsce.

J.E. – Wszystkie te wstrząsy społeczne, tzn. wszystkie „polskie miesiące” – niezależnie od tego, że dzisiaj kojarzą się nam głównie z Poznaniem, Wybrzeżem lub Radomiem i Ursusem – miały wymiar ogólnokrajowy. Gdyby zadać pytanie, kiedy w latach PRL w najkrótszym czasie było najwięcej demonstracji ulicznych, to prawdopodobnie większość ludzi wskazałaby na stan wojenny. Byłaby to odpowiedź poprawna, ale wcale nie chodziłoby tutaj o grudzień 1981 r., lecz o przełom sierpnia i września 1982 r. Jeśli wyłączymy jednak tę datę, okaże się – co zresztą mnie samego także bardzo zdziwiło – że najwięcej demonstracji ulicznych (w ciągu dwóch tygodni w kilkunastu miastach) miało miejsce w marcu 1968 r. Naprawdę każdy z „polskich miesięcy” miał zasięg ogólnokrajowy, a nie jedynie regionalny. Tytułem przykładu można przypomnieć, że w 1976 r. zdarzało się, iż samochody z rejestracją radomską w innych częściach kraju były tankowane poza kolejnością.

Chciałbym jednak powrócić jeszcze do sposobu rozwiązywania spraw konfliktowych przez władze PRL. Nie wolno zapominać, że to było bardzo scentralizowane państwo. Wszystkie nici zbiegały się w budynku na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich w Warszawie, w gabinecie I sekretarza Komitetu Centralnego. Naprawdę I sekretarz KW PZPR w Poznaniu Leon Stasiak niewiele mógł sam zrobić bez zgody Warszawy. Nie chodzi przy tym w żadnym razie o to, żeby go usprawiedliwiać. Takie po prostu były ówczesne reguły gry. Również Alojzy Karkoszka w Gdańsku czy Antoni Walaszek w Szczecinie w 1970 r. tak naprawdę nie mogli zrobić praktycznie nic bez aprobaty ze strony towarzyszy z kierownictwa. Nie tylko w systemach dyktatorskich jest tak, że im wyższe piastuje się stanowisko, tym większą władzą się dysponuje, przy czym odpowiedzialność poszczególnych osób niejednokrotnie jest dość trudna do ustalenia. Wszelako w systemach dyktatorskich zawsze występuje obdarzony szczególną władzą „Człowiek Numer Jeden” – on pozostaje ostatecznym arbitrem, jego decyzja przesądza. W PRL zawsze dla wszystkich było jasne, że tym najważniejszym człowiekiem jest aktualny I sekretarz KC PZPR. Nie było przy tym ważne, czy bunt wybuchł w Płocku, czy w Elblągu, w dużym czy w małym mieście, czy to był Poznań, czy Gdańsk, i tak wszystko w końcu rozstrzygało się w gmachu Komitetu Centralnego – tam zapadały kluczowe decyzje.

S.J. – To widać przy Poznańskim Czerwcu – człowiek, któremu pozazdrościć trudno, szef więzienia na Młyńskiej, widzi już tłum zbliżający się do więzienia, może to być nawet dziesięć

tysięcy ludzi, i próbuje dzwonić do poszczególnych ogniw władzy, by uzyskać jakąś decyzję – co ma robić? I nikt nie daje mu decyzji wiążącej, każdy odbija piłeczkę, to nie tu, to tam. Bez decyzji odgórnej I sekretarza – nawet jeśli kolektywnie dyskutowanej w Biurze Politycznym, to i tak przekazywanej przez pierwszego – nikt na niższym szczeblu nie ośmieli się podjąć jakiegokolwiek decyzji, zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych.

P.S. – Przebieg wydarzeń 25 czerwca w Radomiu też doskonale wpisuje się w tę regułę – najpierw do robotników wyszedł jeden z sekretarzy, później przemówił do nich osobiście I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, Janusz Prokopiak, który również nie mógł podjąć jakiegokolwiek samodzielnej decyzji bądź wiążącej deklaracji i ograniczył się do apeli o powrót demonstrantów do zakładów. Wreszcie, zmuszony do zadzwonienia do KC, połączył się z Janem Szydłakiem. Ten nie udzielił żadnej konstruktywnej odpowiedzi i tylko radził, jak rozmawiać z demonstrantami. Później sam tłumaczył, że gdyby podjął wówczas decyzje samodzielnie, należałoby go natychmiast wyrzucić z partii.

S.J. – Co więcej, społeczeństwo też było przyzwyczajone do tego, rozumiało ten mechanizm. Gdy tłum w Poznaniu podszedł czy to pod Komitet Wojewódzki, czy Miejską Radę Narodową, to żądał rozmów z I sekretarzem KC lub z ówczesnym premierem – Józefem Cyrankiewiczem. Ludzie wiedzieli, że jeżeli decyzje nie zapadną na najwyższym szczeblu, to te wszystkie decyzje cząstkowe nie mają żadnego znaczenia.

B.P. – **Gdyby ten protest rozszerzył się, tak jak rozszerzały się protesty sierpniowe w 1980 r., czy też przyjęto by wariant siłowy? Panowie upewnili mnie, że po stronie władzy nie istniała żadna strategia załatwiania sporów społecznych, choć nie po raz pierwszy spotkała się ona z protestem. Strajki wielkimi falami pojawiały się w latach czterdziestych. Nie było więc tej strategii, bo nie chciano jej mieć.**

S.J. – Właśnie dlatego, żeby zatrzymać ewentualność rozprzestrzeniania się wystąpień robotniczych, władza skierowała do tego miasta, nie takiego wielkiego, ówczesnie trzytysięcznego, ponad dziesięć tysięcy żołnierzy, kilkaset czołgów, dział, wozów bojowych. Teraz już nie ma żartów, teraz nie zawahamy się przed użyciem tych środków. A gdy Cyrankiewicz mówił o szaleńcach i prowokatorach, którzy odważają się podnieść rękę na władzę ludową, to nie mówił tego do poznaniaków, bo Poznań jest już spacyfikowany, on to mówi do całego kraju. Nie próbujcie, bo my się nie zawahamy użyć wszystkich sił, którymi dysponujemy.

B.P. – **Interesuje mnie kontekst międzynarodowy. Z jednej strony działo się to na oczach gości Targów Poznańskich. Z dzisiejszej perspektywy mogłoby się wydawać, że ta okoliczność powinna stonować jakoś zachowania władzy, zmusić ją do zachowań bardziej cywilizowanych. Ale wtedy patrzyła na to również Moskwa. To jest przecież rok 1956, kilka miesięcy później sowieckie czołgi rozjeżdżały protestujących Budapeszt.**

S.J. – Badania tego, jak zareagowała Moskwa, dopiero raczkują. Ściągamy do Poznania historyków moskiewskich, żeby przywieźli materiały ze swoich archiwów, ale do tej pory nie przyniosło to jakiegoś przełomowego referatu, który pokazałby rzeczywiste nastroje w Moskwie. Moskwa była doskonale poinformowana o tym, co się dzieje w Poznaniu, mieli

swojego agenta nawet w Cegielskim. Natomiast reakcja Zachodu mieściła się w konwencji dwubiegunowego podziału świata z tego okresu. Prasa zachodnia momentami reagowała histerycznie. Amerykańska prasa pisała o tysiącach zabitych na ulicach Poznania. Ale to nie miało żadnego wpływu na postawę polskich władz.

J.E. – W okresie „zimnej wojny” w niektórych czasopismach na Zachodzie był utrwalony sposób pisania na temat komunizmu jako systemu zbrodniczego. Zdarzało się niejednokrotnie, że uważano, iż mniej ważne jest to, czy tak istotnie było, niż to, że tak w ogóle mogło być. Spróbuję to wytłumaczyć na przykładzie. Dzisiaj jesteśmy gotowi uwierzyć w to, że z karabinów maszynowych strzela się do tłumu np. w Sudanie, ale gdybyśmy wyczytali, że policja norweska z karabinów maszynowych strzelała w Oslo do demonstrantów, uznalibyśmy taką informację za bardzo niewiarygodną, najpewniej nieprawdziwą. W 1976 r. jedna z gazet opublikowała wiadomość, że demonstranci w Radomiu powiesili pierwszego sekretarza KW PZPR Janusza Prokopiaka. Potem, gdy okazało się to nieprawdą, zamieszczono sprostowanie, że powieszono kukłę pierwszego sekretarza.

Wydaje się, że mechanizm psychologiczny był następujący: Polska znajdowała się w bloku państw, w których w praktyce wszystko było możliwe. Z jednej strony – po doświadczeniach Budapesztu z 1956 r. – za prawdopodobną uznawano wiadomość o powieszeniu przez wzburzony tłum pierwszego sekretarza KW, ale jednocześnie równie prawdopodobne byłyby informacje mówiące o kilkunastu czy kilkudziesięciu ofiarach śmiertelnych. W przypadku państw rządzonych przez komunistów nie budziłyby też chyba większych wątpliwości informacje o bombardowaniu miast czy strzelaniu z czołgów do ludzi. Niekiedy jednak zdarzały się one z krytycyzmem i sceptycyzmem badaczy, którzy bali się przywoływać wiadomości nieprawdziwe. Pamiętam, że przed laty sam miałem pewne opory z przyjęciem do wiadomości faktu zbombardowania przez sowieckie lotnictwo w listopadzie 1956 r. robotniczej dzielnicy Csepel w Budapeszcie. Bez porównania łatwiej było uwierzyć w te wszystkie manifestacje siły – przejazdy wojskowych kolumn pancernych, które miały za zadanie stłamsić i zastraszyć mieszkańców Poznania czy Trójmiasta i zarazem pokazać im, że „nam wolno wszystko”.

Pozwolę tutaj sobie na pewną uwagę. Otóż po roku 1989 zaszła w tym względzie w Polsce fundamentalna zmiana i dziś – niezależnie od tego, kto rządzi: prawica czy lewica – wykluczone są „czołgi na Marszałkowskiej”. Przez czterdzieści pięć lat w każdej chwili były one bardzo prawdopodobne. Każdy praktycznie większy strajk czy uliczna manifestacja powodowały, że protestujący musieli liczyć się z tym, że może być przeciwko nim użyta broń palna. Dziś tego nikt w ogóle nie bierze pod uwagę, gdyż jest po prostu pewne, że nie będzie żadnego strzelania do demonstrantów, jak to się niejednokrotnie zdarzało w PRL.

S.J. – W peerelu zawsze było tak – jak przygotowywano wojsko przeciwko manifestantom, to oczywiście urabiano je w takim duchu, że uczestnicy zdarzeń to nie są prawdziwi Polacy, tylko albo Niemcy, albo ich sługusy, albo obcy wywiad, albo chuligani. Wy bronicie tych prawdziwych Polaków, tych prawdziwych robotników przed tymi, którzy chcą im zaszkodzić. Tak było w Poznańskim Czerwcu, w Grudniu 1970 r., kiedy też się mówi o proniemieckim powstaniu itd. To prosty sposób na rozwianie ewentualnych wątpliwości żołnierzy, poddawanych jednak niesamowitej próbie. Trzeba decydować – strzelać czy nie strzelać. Jeśli ja nie strzelę, to on strzeli do mnie – w Grudniu 1970 r. tak było, pistolet przyłożony do głowy i albo – albo. I pamiętaj – nie strzelasz do swoich, strzelasz do wroga.

Fot. z arch. IPN Poznań



Poznań, 28 czerwca 1956 r.

Fotografia operacyjna wykonana przez funkcjonariuszy UB

B.P. – Czy używanie siły w stosunku do protestujących wywoływało jakiś rodzaj fermentu, przynajmniej niepokoju moralnego, w tych, którzy znajdowali się po tej siłowej stronie?

J.E. – To bardzo ciekawe, że jest w wielu z nas takie marzenie, by znaleźć tych przedstawicieli „sił porządkowych”, którzy w czasie kolejnych „polskich miesięcy” sprzeciwiali się, buntowali, protestowali. W praktyce bezskutecznie szukamy ich od dawna. Co pewien czas powracają opowieści o dziewiętnastu rozstrzelanych żołnierzach w Poznaniu, opowiadamy o jakichś egzekucjach w 1970 r., niewykonanych rozkazach, dezercjach itd. Ale to wszystko – przynajmniej jak dotąd – nie ma żadnego pokrycia w dokumentach. Niedawno poznałem w Paryżu Węgę z Budapesztu, który – jak sam to określił – był dezerterskim z armii węgierskiej w 1968 r., biorącej udział w Operacji „Dunaj” w Czechosłowacji. Od tamtej pory ów Węgier mieszka na Zachodzie. Opowiadał mi, o czym nigdy wcześniej nie słyszałem, że również pewna grupa polskich żołnierzy zdezerterowała wówczas w Czechosłowacji. Oczywiście nie wiedział, ilu ich było, ani tym bardziej nie znał ich nazwisk, ani nawet

nie wiedział, z jakich byli jednostek, ale mówił, że zetknął się z tym zjawiskiem w odniesieniu do polskich żołnierzy bynajmniej nie w skali jednostkowej. Odnoszę wrażenie, że chcielibyśmy sobie troszeczkę ulżyć i znaleźć...

B.P. – ...tych sprawiedliwych.

J.E. – Właśnie tak! W jakimś sensie w ten nurt wpisuje się także historia Stanisława Nadratowskiego, który w Szczecinie 19 grudnia 1970 r. czy to się zastrzelił, czy też został zastrzelony. W każdym razie jest to bardzo dziwna sprawa. Młody żołnierz miał dwie rany postrzałowe w głowie z kałasznikowa. Rodzina do dziś wierzy, że został zamordowany za to, że nie chciał strzelać do „braci robotników”. Sam był stoczniowcem, który w listopadzie został wcielony do wojska i był dosłownie tydzień po przysiędze wojskowej. Nie ma ludzi w Szczecinie uważa więc, że było to samobójstwo młodego człowieka, który nie wytrzymał ogromnej presji psychicznej. Wiele wskazuje jednak na to, że mieliśmy do czynienia z przypadkowym wypadkiem z bronią. Nadratowski miał w rękach odbezpieczony karabin, był w rękawicach, na mrozie, miał zgrabięte ręce, oparł się na karabinie i dwa przypadkowe strzały poszły w głowę. Ale pewności co do tego, jak było naprawdę, oczywiście nie ma i nie ma osób pozostaje przekonanych o tym, że go zamordowano – inni zaś są zdania, że było to samobójstwo.

S.J. – W Poznańskim Czerwcu dezercja z wojska w zasadzie nie wchodzi w grę. Nie zapominajmy o okresie, kiedy się to działo.

J.E. – To samo było w stanie wojennym. PRL przez cały czas była państwem zamkniętym. Czechosłowacja graniczyła z Republiką Federalną Niemiec i Austrią, a Polska ze wszystkich stron była otoczona przez państwa Układu Warszawskiego.

B.P. – Przez przyjaciół.

J.E. – Zdezercerować i ukrywać się? Jak długo można się ukrywać?!

S.J. – Przemiany „demokratyczne” w wojsku nie podążyły w ślad za przemianami w społeczeństwie i pewną odwilż polityczną. Wtedy przez pierwsze pół roku służby wojskowej w ogóle nie było mowy o żadnej przepustce. Ludzie w wojsku byli długo, z rodzinami i ze światem zewnętrznym kontaktowali się rzadko i cały czas podlegali intensywnej obróbce politycznej. Oni nic nie wiedzą o sytuacji. Mówi się im, że strzela się nie do swoich, lecz do wroga. I jeszcze jedno – to są młodzi ludzie, w znacznej mierze z prowincji – oni na tych ulicach po prostu się boją. Mamy wiele takich relacji w Poznaniu – skądś pada pojedynczy strzał i oddział wojska zaczyna strzelać całymi seriami.

J.E. – Jeżeli jedziemy czołgiem czy transporterem i widzimy, że jadący przed nami pojazd nagle staje w płomieniach, gdyż został obrzucony butelkami z benzyną, widzimy naszych kolegów wydobywających się z niego w płonących ubraniach, to ręka niemal odruchowo sięga po broń. W tym momencie jesteśmy gotowi strzelać: albo ja, albo mnie. Nie myśli się wtedy w kategoriach wartości ludzkiego życia, lecz według schematu albo – albo. To także w naszych historycznych analizach musimy brać pod uwagę.

S.J. – Pewne wątpliwości mieli przyszli oficerowie ze szkół oficerskich. Po pierwsze to są ludzie troszeczkę innego pokroju, po drugie nie wsiąkli jeszcze w to wojsko tak w pełni, poza tym nie mieli ostrej amunicji i ich identyfikacja z tym, co się dzieje, zwłaszcza w roku 1956, istniała. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy przechodzą na stronę demonstrantów. Zdarzały się natomiast przypadki oddania broni. Mówi się o tym, że oni strzelali do gmachu UB. Przecież czołgi z Wyższej Szkoły Wojsk Pancernych mogły przesądzić sprawę, bo podjechały pod budynek i gdyby oddały taką salwę w kierunku gmachu, podziątałyby to trochę inaczej niż nawet duży kamień rzucony ręką demonstranta i gmach zostałby z całą pewnością zdobyty. Nie było aż tak wielu obrońców – żołnierzy i funkcjonariuszy UB. Gdyby rzeczywiście drzwi zostały rozbite, gmach zostałby zdobyty.

P.S. – Miałem okazję rozmawiać z jednym z ówczesnych słuchaczy Wyższej Szkoły Oficerskiej MO w Szczytnie, który w 1976 r. wraz ze swoim oddziałem został przerzucony samolotami ze Szczytna do Radomia w celu spacyfikowania protestu. Doskonale zapamiętał swoje myśli, gdy w przeddzień promocji ogłoszono w szkole alarm, wydano tarcze, patki, wyrzutnie gazów łzawiących i przewieziono ich na lotnisko. Nie wiedział, co się dzieje, poza tym, że miał w pamięci opowieści kolegów milicjantów o tym, co działo się w Grudniu 1970 r. na Wybrzeżu, o płonących budynkach, ofiarach śmiertelnych, strzelaniu. Słuchacze WSO dowiedzieli się, że lecą do Radomia, dopiero od pilotów samolotów, ale tak naprawdę nie wiedzieli, co się tam dzieje. Można więc zrozumieć, że pojawia się wówczas strach, adrenalina, stres, co niewątpliwie potęguje agresywność i brutalność w czasie starć ulicznych. Chciałbym podkreślić, że nie chodzi tu o szukanie usprawiedliwienia, ale o zrozumienie tego mechanizmu.

S.J. – Mieli przecież świadomość, po której stronie będą stali. W takiej sytuacji trudno tłumaczyć tej drugiej stronie, że ja przecież nie jestem niczemu winien, że ja tutaj też z przymusu.

J.E. – Chciałbym pójść dalej w tej analizie. W 1956 r. kapral Zygmunt Izdebnny, podoficer KBW, został zlinczowany przez tłum. Podobna sytuacja miała miejsce w grudniu 1970 r. w Gdańsku, gdzie sierżant ZOMO Marian Zamroczyński został przez wzburzony tłum załuczony deskami i kamieniami. Do tej pory praktycznie nie mówiliśmy o tym, że „polskie miesiące” stanowiły erupcję rzeczywistej nienawiści do władzy. Kumulowały się w nich wszak negatywne zjawiska polityczne, ekonomiczne i społeczne. Gdy zaczynało się strzelanie, czy to w roku 1956, czy w 1970, zawsze następowała obustronna eskalacja agresji. Zamroczyński na oczach tłumu chwilę wcześniej zastrzelił stoczniońca, który zagradzał mu drogę ucieczki do komendy. Być może ratował swoje życie, torując sobie drogę pistoletem, ale zrobił to za cenę życia stoczniońca Józefa Widerlika. Demonstranci, którzy to widzieli, deskami, śrubami, kamieniami załuczili go na śmierć, na oczach będących w budynku milicjantów, którzy nic już nie mogli zrobić w obronie swojego kolegi. Jest oczywiste, że takie wydarzenia nakręcały spiralę agresji z obu stron. Tu już nie było miejsca na cień refleksji, że zabicie drugiego człowieka jest grzechem, ciężkim przestępstwem.

B.P. – Widok krwi budzi reakcje najpierwotniejsze. Oczywiście, zawsze warto pomyśleć, od czego się zaczęło, kto pierwszy strzelił lub kto podjął taką decyzję.

S.J. – Armia Czerwona wykorzystywała ten mechanizm w czasie II wojny światowej. Nie zabiłeś dzisiaj Niemca? – pytał Ilja Erenburg. – No, to jest dzień stracony, jutro musisz to naprawić.

B.P. – Ten sam subtelny humanista był autorem pomysłu na sowiecki plakat wojenny – żołnierz w mundurze o jasnym wzroku utkwionym gdzieś w dal ma w ramionach dziecko, ufnie do niego przytulone, mówiące: „Tatusiu, zabij hitlerowca”.

S.J. – Przypominam sobie jeszcze bardziej mobilizujący plakat – kobieta w powłóczyściej sukni trzyma śpiące dziecko w ramionach. Gdybym leżał w okopie i miał świadomość, że zostawiłem żonę ze śpiącym na jej ramieniu dzieckiem, to jakby mi oderwało ręce, wziąłbym granat w zęby i doczołgał się do przeciwnika. Tego rodzaju pokłady ludzkiej świadomości są uruchamiane w takich sytuacjach.

B.P. – No tak, ale to są te szczególnie, prowokowane przez bieg wydarzeń sytuacje.

J.E. – Paradoksalnie mimo użycia największych środków milicyjno-wojskowych stan wojenny był relatywnie mniej krwawy w porównaniu z Grudniem '70 czy Czerwcem '56. Na jeszcze jedną sprawę chciałbym tutaj przy okazji zwrócić uwagę. Otóż w Europie w roku 1956 czy 1970 strzelanie do manifestantów powszechne na pewno nie było, ale jednak się zdarzało. W Irlandii Północnej armia brytyjska używała broni palnej, a w okresie kryzysu algierskiego na ulice Paryża wyjechały czołgi. Również w Stanach Zjednoczonych strzelano do studentów w jednym z kampusów akademickich. Ale w roku 1981 w euroatlantyckim kręgu nikt już nie strzelał do demonstrantów od ładnych kilku lat. W tym sensie wyjątkowość stanu wojennego była aż nazbyt widoczna. Oczywiście, w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej niestety także później wielokrotnie do pacyfikowania buntów społecznych używano broni palnej.

B.P. – Cywilizacyjnie posunęliśmy się do przodu. Ale nie chciałabym, żebyśmy nasze konstatacje sprowadzili do takiego stwierdzenia. Nie było wtedy telefonów komórkowych, internetu (nawiasem mówiąc, było też bardzo mało zwyczajnych telefonów w prywatnych domach). Szybkość przekazywania prawdziwej informacji, przeświecenie informacyjne całego obrazu, też pewnie w niektórych sytuacjach zatrzymałoby krwawe rozwiązania.

J.E. – Na pewno Jerzemu Urbanowi jako rzecznikowi rządu trudniej byłoby przekonywać wszystkich co do tego, że np. w Nowej Hucie doszło do „chuligańskich ekscesów z udziałem garstki ekstremistów”, gdyby niemal równocześnie można było w internecie obejrzeć kolorowy film ukazujący solidarnościową wielotysięczną demonstrację w tejże Nowej Hucie.

B.P. – Abstrahując od tego, w jakie środki, doświadczenia czy techniki był wyposażony system, który opisujemy; funkcjonował on według własnej, specyficznej logiki, w której mieściły się takie zachowania, takie decyzje. Tak funkcjonował ten system, takie były jego pryncypia i logika.

J.E. – W Europie strzelano ostatnio w Rumunii w grudniu 1989 r., czyli w momencie walenia się systemu komunistycznego, a potem niestety bardzo długo w dawnej Jugosławii.

B.P. – Strzelano, i to w wielu miejscach – na Litwie, Łotwie i w Estonii, nie mówiąc o Rosji.

S.J. – Gomułka nie miał wątpliwości. Spytany, co byłoby, gdyby taka sytuacja jak na Węgrzech zdarzyła się w Polsce, powiedział – też byśmy strzelali. A gen. Jaruzelski 12 grudnia, jak sam pisze we własnych wspomnieniach, czy wcześniej, na posiedzeniach Biura Politycznego, mówił, że to jest największą kompromitacją dla systemu, że trzeba użyć wojska do jego obrony, ale dalej jest już tylko ściana czy ciemność, nie pamiętam, jakiego użył sformułowania. W obozie władzy odbywa się więc jakaś ewolucja. Użyjemy, bo nie ma innego wyjścia, ale pojawia się już jakaś nad tym refleksja.

B.P. – Bez wątpienia najbardziej krwawe i najokropniejsze wydarzenia przyspieszały proces upadku systemu. Tak czy inaczej, niezależnie od bezpośredniego uczestnictwa i zaangażowania w tych wydarzeniach, one promieniują na inne środowiska. Świadcami zaczynają być ludzie, którzy nie byli w miejscu wydarzeń, lekarze w szpitalach opatrujący rannych, adwokaci broniący skazanych itd. Radom stał się początkiem KOR. To był szok, który przebudził polską inteligencję, która, nie oszukujemy się, od tego środowiska była odcięta grubym i wysokim murem. Porozmawiajmy o konsekwencjach.

P.S. – Znacząca zmiana w działalności środowisk opozycyjnych zaczęła się wraz z kampanią protestów przeciwko projektowanym zmianom w konstytucji na przełomie 1975 i 1976 r. Wtedy nasilił się proces integrowania i wzajemnego porozumiewania się rozmaitych środowisk opozycyjnych. Gdy więc po Czerwcu zaczęły docierać pierwsze informacje o represjach wobec uczestników protestów, to łatwiej było podjąć i koordynować jakieś wspólne działania o zupełnie nowej jakości. Wszystko zaczęło się zresztą spontanicznie, od pierwszej zorganizowanej *ad hoc* zbiórki pieniędzy, od udzielania pomocy pojedynczym robotnikom, a później akcja ta nabrała rozmachu. Ta pierwsza zbiórka pieniędzy miała miejsce w gmachu sądu na Lesznie w Warszawie, gdzie toczyły się sprawy przeciwko uczestnikom protestu w Ursusie. Antoni Macierewicz wpadł na pomysł zorganizowania akcji pomocy, zebrania pieniędzy i odszukania osób represjonowanych. W ciągu pierwszych dwóch miesięcy jeżdżono przede wszystkim do Ursusa, ale później od osób, które siedziały w więzieniu razem ze skazywanymi i karanymi robotnikami z Radomia, udało się zdobyć pierwsze kontakty także i w tym mieście. Wczesną jesienią jako pierwszy w Radomiu pojawił się Mirosław Chojecki. Wtedy też okazało się, że skala represji jest tam wielokrotnie większa niż w Ursusie. Zaczęło się więc od spontanicznej zbiórki pieniędzy, a z czasem pojawiły się nowe inicjatywy. Bardzo ważne było np. wydawanie niezależnych publikacji.

S.J. – W Poznaniu wyglądało to inaczej, ale też pamiętajmy, że okres był zupełnie inny. Urząd Bezpieczeństwa, który do 28 czerwca, przynajmniej początkowo tak się wydawało, nie potrafił opanować sytuacji, po 28 czerwca działał wyjątkowo sprawnie. W punkcie filtracyjnym na Ławicy, a później w więzieniach, zaroilo się od aresztowanych osób. Ogromna liczba tajnych współpracowników z aparatami fotograficznymi, którzy byli na ulicach miasta, dostarczyła już swoje wywołane zdjęcia, na podstawie których, po rozpoznaniu przez aresztowanych, zatrzymywano następne osoby. Skala represji, jaka spadła na poznaniaków czy Wielkopolan bezpośrednio po czerwcu, spowodowała, że ich entuzjazm i poczucie siły nie „zafunkcjonowały” na dłuższą metę, choć uświadomienie sobie, że jednak razem coś możemy, dało o sobie znać, gdy zaczęły się pierwsze procesy. Władza obawiała się wręcz, że tłum ruszy na sąd i uwolni aresztowanych, dlatego wykuto specjalne przejście między

więzieniem a sądem i po wewnętrznym dziedzincu prowadzono oskarżonych. Do tych pierwszych procesów wybrano takich, którzy mieli się źle kojarzyć mieszkańcom Poznania, np. poznańskiego „konika”. Starano się wybierać takich ludzi, których można było przedstawić jako obiboków, żeby społeczeństwo nie reagowało zbyt gwałtownie.

P.S. – Nie inaczej było w Czerwcu 1976 r. W głównych procesach toczących się w Radomiu rzeczywistych uczestników protestu umieszczano i sądzono razem z osobami, które niekoniecznie brały udział w zajściach, ale za to miały za sobą przeszłość kryminalną, czasem nawet kilka wyroków, co dla celów propagandowych pozwalało budować obraz nie tyle protestu społecznego, co chuligańskich wybryków. A to z kolei znakomicie wpisywało się w lansowaną przez władze „czarną legendę” Czerwca '76.

B.P. – A jeśli chodzi o akty solidarności wobec rodzin?

S.J. – Tutaj nie ma takiej solidarności, jaką obserwujemy później. Po pierwsze dlatego, że Urząd Bezpieczeństwa skrupulatnie śledził rodziny, w których byli zabici czy ranni, i natychmiast reagował. I po drugie nie wiadano, bo to długo utrzymywano w tajemnicy, przeciwko komu prowadzi się śledztwo. W końcu września i na początku października 1956 r. zdążyły odbyć się dwa pierwsze procesy, ale praktycznie zaraz potem przyszedł Październik i amnestia. Zderzenie tych faktów spowodowało, że nie zaistniała potrzeba wspierania rodzin. Ten czas minął w wielkim poczuciu strachu wytworzonym przez Urząd Bezpieczeństwa, który wszędzie szukał uczestników, trwały jeszcze aresztowania itd. Władza natychmiast uruchomiła gigantyczną akcję masówek w zakładach, których załogi zmuszane były do potępienia tego, co się stało. Ale nawet w czasie tych reżyserowanych spektakli, np. na egzekutywach partyjnych, pojawiły się głosy, że to nie do końca tak było, jak nam próbujećie wmówić, że protest robotniczy był jednak słuszny i to nie było tak, że to chuligani wybiegli na ulice. To było oczywiście na tyle stonowane, żeby nie wywołać gwałtownej reakcji.

B.P. – A co mówił Kościół w tym czasie? Czy komentowano te wydarzenia w kazaniach?

S.J. – Nie wiemy nic ponad to, że były pojedyncze przypadki księży, którzy nawiązywali do tej sprawy w swoich kazaniach. Księża byli wtedy pod bardzo silną obserwacją bezpieki, nawet w czasie pogrzebów.

J.E. – Prymas Wyszyński znajdował się wtedy w Komańczy.

B.P. – Poza tym to był czas przedsoborowy, nie istniały żadne stanowe, w tym robotnicze duszpasterstwa. A jak było w 1976 r.?

P.S. – W tym wypadku Kościół interweniował praktycznie od razu. Z początku w nieformalny sposób zaprotestował sekretarz Episkopatu Polski, biskup Bronisław Dąbrowski, a później także prymas Stefan Wyszyński zwrócił się z osobistymi listami najpierw do premiera Piotra Jaroszewicza, a potem również do I sekretarza KC Edwarda Gierka. Można przypuszczać, że te głosy Kościoła w obronie represjonowanych robotników miały istotny wpływ na stopniowe łagodzenie represji. List Episkopatu z 7 września 1976 r. dodatkowo dopingował władze do zmian w tym zakresie. Od września zostało to jeszcze wzmocnione rodzącymi się akcjami

Fot. z AIPN



Radom, czerwiec 1976 r.

opozycji. Mam tutaj na myśli przede wszystkim powstanie Komitetu Obrony Robotników. Raz jeszcze wypada jednak podkreślić, że stanowisko Kościoła w bardzo poważny sposób wpłynęło na złagodzenie represji. Widać wyraźnie, iż – cokolwiek by mówić – radykalnie zmieniła się sytuacja w porównaniu z rokiem 1956. To już był zupełnie inny etap w stosunkach Kościół–państwo. Kościół katolicki w Polsce miał już wówczas coś do powiedzenia.

B.P. – Czy uczestnictwo w zajściach – oczywiście warunkiem było, żeby nie zostać ofiarą śmiertelną – podnosiło prestiż społeczny osoby? Czy było coś takiego jak poczucie godności kombatanta, nazwijmy to tak?

J.E. – Do 1989 r. wątpię.

S.J. – Do 1981 r. nikt na temat Poznańskiego Czerwca oficjalnie nie rozmawiał, a jeżeli tak, to z pewnymi obawami. Gomułka powiedział na początku czerwca 1957 r., jak przyjechał do robotników „Ceglorza” – to jest konflikt w rodzinie, z tym się nie wychodzi na zewnątrz, zapuścimy żałobną kurtynę milczenia. Służba Bezpieczeństwa skrupulatnie pamiętała o tym, żeby inwigilować środowiska, czy przypadkiem nie odżywają tam jakieś anarchistyczne pomysły. Nie wiemy, czy aresztowanych zmuszano do złożenia przysięgi o milczeniu. To może dzisiaj śmiesznie brzmi, ale wtedy miało inną wymowę.

P.S. – W przypadku Radomia czegoś takiego nie było.

B.P. – **Może nazwę to jakoś inaczej – kombatanctwem, które przeradza się wraz z indywidualnym dojrzewaniem w pewnego rodzaju postawy życiowe, np. przekuwa człowieka w szczerego antykomunistę.**

P.S. – To zależało od środowiska i sytuacji. W Radomiu, zwłaszcza w tym pierwszym okresie, wielu uczestników protestu zostało ukaranych. Co tu dużo mówić, pojawił się nawet rodzaj rozgoryczenia i żalu. Można powiedzieć, że propaganda i bardzo brutalna kampania, właściwie nagonka, którą później uruchomiły władze, przynosiły pewne rezultaty. Przecież część mieszkańców Radomia widziała na własne oczy, że w późniejszym etapie protestu i zamieszek ujawnił się nurt niszczycielski i dochodziło do podpaleń, rabunków sklepów, niszczenia mienia publicznego. Zdawano sobie sprawę z tego, co działo się na ulicach, i dlatego ten wątek kampanii propagandowej padał na dość podatny grunt. Niemal kompletne skoncentrowanie się środków masowego przekazu na nurcie chuligańskim spowodowało, że osoby, które wychodziły z więzień, spotykały się nawet z czymś w rodzaju ostracyzmu – to przez was spotkała nas wszystkich ta kara, która spadała na Radom. W późniejszym okresie to się zmieniło, ale początkowo ten wątek miał naprawdę duży wpływ na ludzkie zachowania i kształtowanie obrazu wydarzeń z 25 czerwca.

S.J. – Ja bym dorzucił jeszcze to, co zderzyło się z tym tradycyjnym pojmowaniem metod walki o własne prawa. Przysłowiowo uporządkowany Wielkopolanin akceptował bez problemów protest aż momentu manifestacji pod Zamkiem. Walka zbrojna w metodach walki o własne prawa nie do końca się mieściła. Matyja w swoich wspomnieniach mówił tak – usiadłem na trawniku i rozumiałem, że my już właściwie nie kierujemy tym protestem, że on żyje własnym życiem. Ludzie częściowo wracali do swoich zakładów pracy. Potem władza wychwalała przede wszystkim te z nich, które nie wzięły udziału w proteście. O ile bez problemów akceptowano to, co działo się do godziny 10.00 na placu Stalina, o tyle ta zbrojna część protestu przeciętnemu człowiekowi dawała do myślenia.

B.P. – **No tak, jeśli jest się w pewnym dystansie do wydarzeń, to działają mechanizmy analizowania sytuacji. Najgorszy jest widok krwi. Wtedy nie działa już mechanizm samoobronny.**

P.S. – W Radomiu było podobnie. Także i tam zupełnie inaczej postrzegano samo pójście pochodem pod gmach Komitetu Wojewódzkiego, a nawet formułowanie przez strajkujących postulatów, a zupełnie inaczej tę gwałtowną fazę buntu: uliczne starcia, walkę z milicją, późniejsze przypadki kradzieży. O ile z protestu wiele osób było dumnych, nawet

funkcjonowało takie powiedzenie – gdyby nie Ursus i Radom, jedlibyśmy chleb z marmoladą – o tyle ta druga część była wyraźnie inaczej oceniana.

S.J. – Przypomnę, że na początku demonstracji w Poznaniu dbano wręcz o porządek – nie deptamy trawników! To był element pewnej świadomości, którą można streścić tak: to, co chcemy osiągnąć, nie może odbywać się za każdą cenę, bo żyć będziemy dalej, po tym wszystkim.

J.E. – We wszystkich „polskich miesiącach” nurt niszczycielski pojawiał się później. Do końca zresztą nie wiemy, kto naprawdę niszczył, kto podpałał.

B.P. – **Dla mnie to jest zrozumiałe, to nie były rewolucje. Ludzie, jeżeli organizują się wokół jakiejś idei społecznej, starają się załatwić sprawę cywilizowanymi metodami. Zachowania rewolucyjne to już jest zupełnie inny poziom.**

J.E. – Mówiliśmy już tutaj o różnych cechach wspólnych i odmiennych dla poszczególnych „polskich miesięcy”. Na przykład „ścieżki zdrowia” powszechnie kojarzą się z rokiem 1976, ale przecież szpalery uzbrojonych w jakieś pałki czy pejczy mężczyzn, przez które przeganiano bitych ludzi, nie były wymysłem naszych czasów. Coś podobnego istniało i w starożytności, i w carskiej Rosji, i w faszystowskich Włoszech, i nazistowskich Niemczech. Ale dopowiedzmy, że było to też praktykowane w Czerwcu 1956 r. na lotnisku Ławica w Poznaniu, w paru miastach województwa katowickiego w marcu 1968 r., na Wybrzeżu w Grudniu 1970 r. – tyle tylko, że inaczej się to nazywało. Sama nazwa „ścieżki zdrowia” pojawiła się i rychło stała się popularna na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy także i w Polsce zaczęto na stosunkowo szeroką skalę budować obiekty rekreacyjne przeznaczone do biegania i uprawiania ćwiczeń gimnastycznych na świeżym powietrzu.

P.S. – Zresztą termin ten „spopularyzowali” sami funkcjonariusze, mówiąc bitym, że właśnie robią im „ścieżkę zdrowia”.

B.P. – **Zarówno cynizm zawarty w tej nazwie, jak i sama metoda jest dowodem wyjątkowego bestialstwa.**

J.E. – I to bestialstwo odnajdziemy prawie we wszystkich „polskich miesiącach”, nie tylko w dwóch Czerwcach.

S.J. – W Poznaniu była trochę inna wersja – wzdłuż ściany stoją aresztowani, tylko funkcjonariusze przesuwają się szeregiem i każdy z nich robi, co chce. Ale może jeszcze gorsze od uderzenia pałą było ustawianie człowieka tyłem do funkcjonariuszy, którzy repetowali broń. Resztę miała podpowiedzieć wyobraźnia.

J.E. – Znamy relację Jacka Kuronia opisującą podobny w gruncie rzeczy spektakl, taką sadystyczną grę w grudniu 1981 r.

S.J. – W 1956 r. prawdopodobieństwo, że strzelą, było w zasadzie stu procentowe, w 1981 r. już nie.

B.P. – Ta metoda znana jest od lat czterdziestych, od rozprawy z polskim podziemiem niepodległościowym. W śledztwie znęcano się nad ludźmi fizycznie i psychicznie. Żeby „rozmiękczyć” aresztowanego, aranżowano sytuacje sugerujące, że to są ostatnie minuty, gorsze pewnie były aranżacje z dobiegającymi krzykami katowanych osób, może z rodziny? Taka była sugestia.

S.J. – Po 1956 r. już nie bito, ale człowiek tak dręczony psychicznie, choćby aluzjami dotyczącymi bezpieczeństwa dziecka, miał obniżoną odporność, wyobraźnia robiła swoje. Chciałbym jednak przejść do konkluzji. Oczywiście, użycie siły w Poznańskim Czerwcu, przy rozbudzonych w mieście ogromnych emocjach i nadziejach, było w jakimś sensie złamaniem kręgosłupa. Wytykano potem poznaniakom, że kiedy na Wybrzeżu coś się działo, to Poznań milczał. Ale znaczenie Poznańskiego Czerwca jest jednak większe niż tylko lokalne. Z jednej strony władza zabezpieczyła się przed większym, powszechnym wybuchem niezadowolenia swoim zbrojnym ramieniem, a z drugiej strony nastąpiła wtedy eksplozja aktywności robotników w fabrykach w całej Polsce. Przebudzenie się polskiego społeczeństwa po okresie stalinizmu z całą pewnością zaczęło się w Poznaniu.

B.P. – I zakończyło się w 1989 r. Ten system był skazany nie tylko na bunt przeciwko sobie, ale i totalną klęskę, choć trudno było w to uwierzyć tym pokoleniom, które doznawały od niego represji. Władza, która pozwalała sobie na wyciągnięcie przeciwko własnym rodakom wojska, czołgów, samolotów, prędzej czy później musiała przegrać, a system przez nią stworzony skompromitował się ostatecznie.



Prof. Jerzy Eisler, Dyrektor Oddziału IPN w Warszawie, pracownik naukowy IH PAN. Jest znawcą najnowszych dziejów Francji oraz historii politycznej PRL. Ważniejsze publikacje: *Od monarchizmu do faszyzmu. Koncepcje polityczno-społeczne prawicy francuskiej 1918–1940*, Warszawa 1987; *Kolaboracja we Francji 1940–1944*, Warszawa 1989; *Philippe Pétain*, Wrocław 1991; *Marzec 1968. Genez – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 1991; *Zarys dziejów politycznych Polski 1944–1989*, Warszawa 1992; *List 34*, Warszawa 1993; *Grudzień 1970. Genez – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 2000, *Polski Rok 1968. Genez – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 2006.

Stanisław Jankowiak – dr nauk historycznych, adiunkt w IH UAM w Poznaniu. Od kilkunastu lat prowadzi badania nad najnowszą historią Polski, ze szczególnym uwzględnieniem losu Niemców w Polsce po II wojnie światowej. Autor książki *Wielkopolska w okresie stalinizmu 1948–1956* oraz podręcznika historii do pierwszej klasy gimnazjum i licznych tekstów popularyzatorskich. Naczelnik OBEP IPN w Poznaniu.



Paweł Sasanka – ur. 1976, historyk, absolwent Instytutu Historycznego UW, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie. Zajmuje się głównie polityczną i społeczną historią Polski po 1956 r. Autor książki *Czerwiec 1976. Genez – przebieg – konsekwencje* (Warszawa 2006).

